

ALBO mi się zdaje, albo Warszawa zaczyna powoli odrabiać zaległości, jakie miała – i ma! – w imporcie zagranicznych sław. Dopiero niedawno dotarła do nas Milva, którą przedtem poznał i Kraków, i Śląsk, a ostatnio mogliśmy wreszcie obejrzyć Teatr Tańca Piny Bausch, we Wrocławiu oklaskiwany już przed kilkunastu laty. Pina dojechała do Warszawy z Wuppertalu – tam ma bowiem siedzibę jej niewielki, 20-osobowy zespół, złożony z tancerzy z kilkunastu krajów. Tancerzy? Nie jestem pewien, czy to określenie jest dla nich odpowiednie; w Teatrze Piny Bausch nie tylko bowiem się tańczy, a nawet tańca w potocznym znaczeniu tego słowa jest tam raczej niewiele. Zespół spaceruje, biega, toczy akrobatyczne bójki, rozmawia, krzyczy, śpiewa itd. itd. Jakby uznając, że publiczność może odczuwać pewien niedosyt lub wręcz niewiarę w ich baletowe umiejętności, w pewnym momencie jeden z tancerzy wykonuje dziesiątki wspaniałych piruetów, z rozdrażnieniem wołając: – *Tego chcecie? Voilà! Bardzo proszę, macie to...* Ale, oczywiście, żadnego niedosytu ani niewiary nie ma: w spektaklu Piny Bausch dzieje się tak wiele, jest tyle zdarzeń zaskakujących, świeżych, iż satysfakcjonuje to widownię całkowicie.

*Pina Bausch tworzy nową jakość tańca • Goździki strzeżone przez policyjne psy • „Wszystko w ogrodzie”, czyli wszystko dla pieniędzy... • Pani Glińska znów zaprasza do Wiednia • Dziewoński nas zabawia (przy pomocy Cwojdzńskiego) • Agnieszka Duczmal, 30 lat sukcesu • Mischa Maisky – puryści słuchając go dostają zawał*

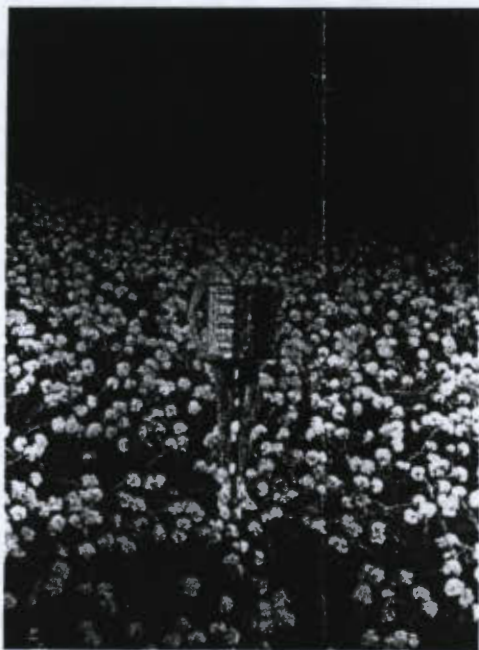
Spektakl ma tytuł „Goździki”. Po wejściu na przyciemnioną widownię Teatru Wielkiego, widziało się jasno oświetloną, gigantyczną przestrzeń sceny zasianą pięknymi, różowymi goździkami. Było ich podobno na tej niezwykle scenie-łące trzy i pół tysiąca, i wrażenie sprawiały obezwładniające! W zasadzie takie morze kwiatów powinno być terenem powszechnej szczęśliwości. Czy jednak w dzisiejszym świecie, świecie przemocy, brutalności, zbrodni, szczęście jest w ogóle możliwe? Czy miłość jest możliwa? Pina

W głosach prasy zamieszczony w programie przeczytałem, że par recenzentów (m.in. krytyk „New York Timesa”) doszukało się w „Goździkach” sporej dozy humoru. Nie mogę tego powiedzieć o sobie, lecz przecież nie każdy już pamięta gestapowskie wilczury, niemieckie wrzaski przywołujące opornych do porządku, nie każdy pamięta żądanie „Paszport proszę” wypowiedziane tonem sugerującym odrazu to, co najgorsze... Ja pamiętam, zatem dla mnie „Goździki” nie były pełne humoru, niemniej – były wspaniałe! Pina Bausch stworzyła nową jakość w dziejach tańca, a sądzę, że najlepszym mottem tej nowej jakości może być jej znane stwierdzenie: „*Mniej interesuje mnie to, jak ludzie się poruszają, niż to, co ich porusza...*”.

Bausch zdaje się odpowiadać na to negatywnie: pole goździków otoczone jest ponurymi typami-strażnikami, trzymającymi na długich smyczach groźne owczarki alzackie. Tancerze-aktorzy biegają po polu goździków nerwowo, niespokojnie, jakby szukając miejsca, w jakim mogliby ocalić piękno, a może... ocalić siebie? Ich ruchy, ich gesty cechuje panika, i chociaż z finałowego koro-wodu wydaje się prze-bijać nadzieja, że może jeszcze nie wszystko utraciliśmy, to ogólne wrażenie jest raczej przygnębiające. Jak w życiu.

A w ogóle listopad, choć to miesiąc, w którym przyroda zamiera (w tym roku w dodatku szczególnie przecież mroźny), na warszawskich scenach obfitował w roślinność. Teatr Wielki rozkwitał „Goździkami”, Współczesny wystawił „Wszystko w ogrodzie”, Ateneum zagrało nam „Opowieści Lasku Wiedeńskiego”. Tytuły wskazywały na kwitnąco-zieloną łagodność wieczorów, a tymczasem...

Gdyby groźne owczarki z „Goździków” pogrzebały trochę w „Ogrodzie” Edwarda Albee to i tam do-grzebałyby się niezłego świństwa. Ta sztuka, bardzo również i u nas popularna z początkiem lat siedemdziesią-



Tajemnicza dziewczyna z akordeonem pojawiająca się na polu goździków była leitmotiwem spektaklu Piny Bausch



siątych (pamiętam z tych czasów świetny spektakl Jarockiego z Ewą Lassek, Markiem Walczewskim i Mirosławą Dubrawską, i równie świetne przedstawienie Warminskiego z Aleksandrą Śląską i Stanisławem Zaczykiem) mówi, by rzecz ująć najkrócej, o pieniądzach. O sile pieniądza, czyli jest teraz u nas jak najbardziej na czasie. Młode małżeństwo żyje co prawda w miarę zamożnie, lecz ambicje – zwłaszcza żony – lokowane są znacznie wyżej. Sąsiedzi mają to i tamto, więc milutka i pocziwa kurka domowa, Jenny, również pragnie to mieć! Toteż, gdy pod nieobecność męża, przychodzi do niej kobieta-kusicielka i proponuje pracę w – jakbyśmy to dziś określili – „agencji towarzyskiej”, Jenny choć początkowo bardzo się oburza, to oburzenie trwa u niej niedługo, jako że zajęcie jest raczej popłatne.

Jak się potoczy dalej to demaskowanie amerykańskiego (czy aby tylko amerykańskiego?) high life'u, nie zdradzę oczywiście, bo sztuka trzyma w napięciu i ma dobre pointy. Zdradzę natomiast, iż przedstawienie znakomicie wyreżyserowane na małej scenie Współczesnego przez Zbigniewa Zapasiewicza jest także doskonale zagrane, szczególnie przez kobietę – Olę Sawicką (Jenny) i Zofię Kucównę (pani Tooth – owa „kusicielka”). Bardzo dobry jest również Janusz R. Nowicki, a Jacek Mikołajczak i Przemysław Kaczyński dopełniają obsady ważniejszych ról w tym świetnym spektaklu.

Natomiast „Opowieści Lasku Wiedeńskiego” Ödöna von Horvátha przygotowała na scenie Ateneum Agnieszka Glińska, jedna z najzdolniejszych wśród reżyserskiej młodzieży. Pod kojącym ucho tytułem sztuki Horvátha kryje się nieco odrażający obraz wiedeńskiego drobnomieszczństwa w przeddzień nadciągającej grozy hitlerizmu. Zbudowane z szeregu krótkich scen dzieło jest przede wszystkim obrazem charakterów, zatem idealnym materiałem dla dobrych aktorów, a takich w Ateneum nie brak. Świetną kreację stwarza zwłaszcza Marian Opania jako trochę nieporadny sklepikarz, mający problemy ze swą niepokorną, idącą własną drogą, córką. W tej roli kolejny raz udowodniła swą wrażliwość i nieprzeciętny talent Dominika Ostalowska, a obok

tych dwojga gorąco oklaskiwałem także Agnieszkę Pilaszewską, Grzegorza Damińskiego, Andrzeja Zielińskiego, Annę Majcher i in.

Po jej zeszlorocznym sukcesie jakim był „Korowód” Schnitzlera, również na scenie Ateneum, teraz – po tej premierze – można śmiało powiedzieć, że Glińska doskonale czuje atmosferę Wiednia – i tego z czasów Austro-Węgier i tego nieco późniejszego – i że doskonale rozumie się z tą samą na ogół, dobraną grupą świetnych aktorów. Mają jej przedstawienia specyficzny nastrój, wciągają widza w klimat dawnych lat...

Czyli tak: „Goździki” są groźne, „Wszystko w ogrodzie” jest odrażające, a „Opowieści” – melancholijne, gdzie zatem można się choć trochę uśmiechnąć? Chyba w Teatrze Ochoty, gdzie nestor naszej komedii i kabaretu, Dudek Dziewoński (swoje lata ma, ale forma, że daj nam Boże!) wyreżyserował dwuosobową sztukę Antoniego Cwojdzńskiego „Hipnoza”. Cwojdzński, dramaturg w latach trzydziestych niezmiernie popularny i ceniony, później, będąc od roku 1939 na emigracji, został właściwie zapomniany – a szkoda. Karierę zrobiła niegdyś przede wszystkim jego „Teoria Einsteina” wystawiona przez Osterwę przed wojną w Reducie, a po wojnie wznowiona przez niego w krakowskim Starym Teatrze (pamiętam ten spektakl: debiutował w nim na scenie Tadeusz Łomnicki!). Mniejszą popularność, bo przerwana wybuchem wojny, zyskała kolejna „komedia naukowa” Cwojdzńskiego „Freuda teoria snów”, a jeszcze mniejszą „Hipnoza”, bo napisana już na emigracji, choć utrzymana jeszcze w stylu i w duchu komedii międzywojennej.

Treść jest raczej wąta: do doktora leczącego hipnozą przychodzi młoda, atrakcyjna aktorka: straciła głos, nie może śpiewać, zwykła medycyna jest wobec jej dolegliwości bezradna, czy zatem liczy już tylko na hipnozę? Nie tylko. Liczy także, jak się okazuje, na zainteresowanie ze strony sympatycznego, acz mało domyślnego doktora, no i zyskuje i jedno, i drugie. Może znów śpiewać, lecz po co ma śpiewać w ramionach doktora, który wreszcie zorientował się, o co właściwie idzie jego pacjentce?... Dziewoński wyreżyserował „Hipnozę” z właści-

wym tamtej epoce smaczkiem, a efektowna Ewa Gawryluk i zabawny Krzysztof Wakuliński z wdziękiem poprowadzili dialog. Nie jest to rzecz na duży rechot, ale na pogodny uśmiech kulturalnej publiczności.

Kulturalna publiczność wypełniła też salę Filharmonii Narodowej na jubileuszowym koncercie Orkiestry Kameralnej Polskiego Radia Amadeus, od trzydziestu lat kierowanej przez Agnieszkę Duczmal. Przez te trzydzieści lat pani Agnieszka otrzymała mnóstwo nagród, wyróżnień, medali i innych dowodów uznania. Nie znam się na tym za dobrze, ale myślę, że może najmilszym był dla niej tytuł „Kobiety świata” (La donna del mondo) przyznany jej w roku 1982 przez Międzynarodowe Centrum Kultury w Rzymie, pod patronatem UNESCO i prezydenta Włoch. Miło też wspomnieć, że była pierwszą kobietą-dyrygentem, która wystąpiła na scenie La Scali, w całej historii tego legendarnego teatru.

Prowadzona przez panią dyrygent Orkiestra Amadeus ma znakomitą opinię dosłownie w całej Europie, w Stanach Zjednoczonych i w Kanadzie, gdzie niejednokrotnie występowała. Recenzje, jakie otrzymał i zespół, i Agnieszka Duczmal, pełne są entuzjazmu, a sądząc po jubileuszowym koncercie, ów entuzjazm był w pełni uzasadniony. Na solistę jubileuszowej gali, pani Agnieszka wybrała Mischę Maisky'ego, charyzmatycznego wiolonczelistę, jednego z najznakomitszych dziś w świecie, urodzonego w Rydze, wykształconego w Leningradzie, obywatela Izraela.

Maisky zagrał Koncert wiolonczelowy C-dur Josepha Haydna, w sposób, który purystów stylistycznych przyprawił niemal o zawal serca, ale który publiczność w filharmonii rozgrzał do białości! Otrzymał ogromną, burzliwą owację! Dla mnie jest to Pogorelić wiolonczeli; gra po swojemu, lecz gra porywająco; Haydn w jego interpretacji nabrał nowego blasku, nowego życia, przestał być zimnym klasykiem i stał się kimś bardzo nam bliskim. Tego wieczora nie odczuwałem mrozu!

LUCJAN KYDRYŃSKI